

Teresa Kossek

© ARCHIWUM WSKRODNIE +

Urodziłam się w Łodzi, w 1932 roku, nazywam się Teresa Kossek z domu Orlik. Ojciec mój w czasie okupacji został aresztowany w 1941 roku i już nie wrócił. Wychowywała mnie mama która była związana z Harcerstwem od swoich lat dziecięcych, wpałała mi zasady i ideały Harcerstwa prawdziwego i to co wyniosłam z domu, przeniosłam na teren szkoły. W szkole uczyłam się przeciętnie, nie byłam orłem, ale miałam swój pogląd na świat, na życie i sytuację jak była w kraju. W owym czasie zostało stworzone harcerstwo czerwone, z którym nie czułam się związana i wystąpiłam z niego. Związałam się natomiast z organizacją, która miała na celu zwalczanie komunizmu. Nazywała się ona "Młoda Polska". Skupiała w swoich szeregach młodzież w wieku 16 - 18 lat. Chodziliśmy na krótkie spotkania, mieliśmy człowieka, chłopca, którego uważaliśmy za swego przywódcę, była przysięga na wierność, że się nie zdradzimy, że nie wydamy, gdyby coś się stało złego. Nasz przywódca nazywał się Włodek Zygier, jeszcze żyje, niedługo się spotkamy. Jak doszło do wpadki naszej organizacji dokładnie nie wiem. Podejrzewam, że stało się to na skutek zatrzymania studenta z organizacji starszej Polskiej Podziemnej Organizacji Bojowej z którą nawiązaliśmy w późniejszym czasie kontakt. Chłopak ten niósł teczkę, podejrzewam, że w teczce tej mogły być jakieś dane, dokumenty, być może tylko pseudonimy, nie wiadomo co dokładnie tam było. Chłopak ten został postrzelony w nogi, a następnie się zastrzelił. Drugi został złapany i oczywiście teczkę przejęli UB-owcy. Pierwszy nazywał się Parysiewicz, drugiego nazwiska nie pamiętam, znajduje się w spisie, przy akcie oskarżenia. 29 Maja zostałam aresztowana w domu. Bo były przypadki aresztowań w szkole. Ja miałam to szczęście w nie-

1950
rok ?
Głak

szczęściu, że zostałam zatrzymana w domu, w obecności mojej babci, bo mama była w pracy. Dwaj panowie się zjawili bardzo nieprzyjemni i oczywiście z wielkim krzykiem wpadli do mieszkania, rewizję chcieli przeprowadzić, ale nakazu nie mieli i rewizji nie przeprowadzili, bo ja już byłam trochę uświadomiona, co do tego, że bez nakazu nie wolno przeprowadzać rewizji, zdążyłam wyrzucić zdjęcia z kieszeni, które miałam w mundurku harcerskim jeszcze, który nosiłam z przywiązania. Były to zdjęcia kolegów, koleżanek, zdążyłam je wrzucić mamie do nocnego stolika, do szuflady. Było to szczęście, bo mogliby ciągnąć na przesłuchania zupełnie niewinnych ludzi. Zostałam wyciągnięta z domu, samochód czekał kilka domów dalej, jechaliśmy ulicą Nowotki, a na Nowotki mieszkała jedna z moich koleżanek, która także była łączniczką, znałyśmy się ja mimo woli odwróciłam głowę i spojrzałam na dom w którym koleżanka mieszkała i wtedy jeden z panów powiedział: tak, tak, tak, Wandzia też już jest aresztowana. Stąd miałam pierwszą wiadomość, że ja także aresztowano. Usiłowano mnie wypytywać mnie już w samochodzie, o innych ludzi, o organizację, o działalność... Ja przyjęłam metodę milczenia, wogóle nie odpowiadałam na pytania, więc dowieziono mnie do Urzędu Bezpieczeństwa na ul. Anstadta, obecnie 19- stycznia, funkcjonariusz, który stał przy bramie otworzył ciężkie, okratowane drzwi i powiedział, że tu się wchodzi, ale stąd się nie wychodzi. Zaprowadzono mnie natychmiast na pierwsze piętro, tam czekałam chyba ze cztery godziny na łaskawe przyjęcie przez jakiegoś funkcjonariusza, który okazał się sędzią śledczym. Pierwsze moje wrażenie polegało na zdziwieniu, ów pan okazał się dobrym tatusiem, zaczął mnie pogłaskiwać po głowie i mówił, że naszą się do wszystkiego przyznać, że jeżeli tylko wszystko powiem, to natychmiast wyjdę, moja mama jest w rozpacz

bo jestem jedynym jej dzieckiem, nie ma więcej dzieci, powin-
nam więc wszystko powiedzieć, oni mi nic nie zrobią, są dob-
rzy. Podjęłam jednak postanowieniem, że nie będę się odzywać
i śledztwo trwało 5 godzin i nawet nie powiedziałam, jak się
nazywam. Wtedy wpadł inny pan śledczy, który natychmiast ude-
rzył mnie i powiedział, że teraz muszę mówić, bo będzie źle,
natychmiast się ze mną rozprawi. W dalszym ciągu milczałam.
Więc trwało bicie, szarpnięcie za włosy, sięganie po broń do
szuflady. Widząc, że tą metodą nie poradzi, wyciągnął z szu-
flady obrazek z Matką Boską, pokazał mi go i stwierdził, że
on też jest wierzący, więc czemu podchodzę do nich tak nieuf-
nie. Wcześniej mnie jednak pobił. Twierdził, że powinnam im
wszystko powiedzieć, bo on też jest wierzący. Odparłam, że
mogę mieć sto obrazków Stalina w szufladzie, a w niego nie
wierzę, dla^ynie to nie było miarodajne. Po całodziennym ~~mnym~~
przesłuchaniu zwleczono mnie po schodach do piwnicy, wpuszczo-
no do celi. W celi było już 19 kobiet, cela miała chyba 20m²
wszystkie młode, było ciemno, więc zbuntowana usiadłam na
drewnianej ławie i postanowiłam całą noc przesiedzieć. Wtedy
podniosła się z pryczy taka postać z bardzo długimi włosami,
była to studentka, Zdzisia Kolatorowicz, nawiasem mówiąc ode-
brała sobie później życie, powiedziała - nie bądź mała głupia
- połóż się, bo za godzinę nabiorą cię na śledztwo. Miała ra-
cję, za godzinę rozległ się zgrzyt klucza i powędrowałam na
śledztwo. Trwało to trzy miesiące, na śledztwa odbywały się
wyłącznie w nocy, W dzień był względny spokój, ale żadnej no-
cy nie przespałam. Na śledztwach w moim mniemaniu przyjęto
dwie metody, metodę NKWD i metodę Gestapo. Mało, że grożono,
ale potwornie bito, złamano rękę, skakano po żebrach, wykrę-
cano do tyłu ręce, przywiązywano do ściany i jeden z oprawców
udawał, że przecina żyły, bo to było udawanie, przecież chcia-

li się czegoś dowiedzieć, ale chodziło o to by wywołać u aresztowanego strach. I oprawca udawał, że przecina czymś tępym żyły, powiedział: jak ci krew wypłynie, to zdechniesz, bo tak się tam mówiło. Nie wiem skąd miałam tyle siły, ale to była chyba kwestia młodości, bo teraz bym nie wytrzymała tego, co wówczas. Nie powiedziałam nic i starałam się nawet nie odpowiadać na pytania. To że obrywała, to było normalne, obrywali wszyscy, trudno więc robić z siebie bohatera, bo ludzi cierpieli jeszcze gorzej. Ja schodząc ze śledztwa, wlokąc się ze schodów, bo odbywały się one na drugim czy trzecim piętrze do piwnicy mijalam nieraz człowieka, który miał poprzecinaną narzynarkę jakimiś pejczami, czy drutami tak był bity strasznie i maltretowany. Moje cierpienia w porównaniu z takimi wydawały mi się małe. Powiedziałam więc sobie, że wytrzymam i wytrzymałam. ~~Winnikiem~~ Komendantem UB w Łodzi, był wtedy Moczar.

Śledczym był wówczas pan Antczak, wydaje mi się, że on albo był z Gestapo, albo z NKWD. Bo trudno było się zorientować, bo on miał raz inny akcent, to znów inny, może celowo zmieniał po prostu mowę. Zauważyłam, że nigdy nie zjawiał się w mundurze, takim w jakich chodzili tam inni, w wojskowych mundurach.

Śledztwo trwało trzy miesiące, do końca sierpnia. Akt oskarżenia dostałam w więzieniu. Przewieziono nas do więzienia przy ul. Kopernika. Tam, jeszcze przed wręczeniem mi aktu oskarżenia naraziłam się komendantowi więzienia. Był to kaleka, kulawy. Chciałam wówczas pożegnać się z e wszystkimi przyjaciółkami z grupy, których już poznałam, bo wcześniej, nie wszystkich znałam. Podbiegłam do nich i wówczas pan komendant powiedział, że za to będę musiał pójść do celi gdzie przebywają prostytutki i będę z nimi pracowała w pralni. Ja przyznam się, że wówczas, gdy jeszcze były balie, nie umiałam stanąć przy balii. Ja w domu nie prałam, po prostu się uczyłam. I wówczas

te panie, które musiały ze mną przebywać, po prostu to pranie za mnie wykonywały, za co im jestem wdzięczna do dziś, choć były to kobiety o niezbyt chwalebnej reputacji. Akt oskarżenia otrzymałam na trzy dni przed rozprawą, rozprawa odbyła się 9 października, w moje imieniny, w Sądzie Wojskowym przy ul. Sienkiewicza u zbiegu ul. Moniuszki. Zapoznając się z aktem oskarżenia byłam mocno zdziwiona, bo zarzucano mi zamach stanu, zmianę przemocą ustroju, trudno. Na rozprawie sędzia, ..., pan prokurator Pohatyrewicz domagał się dla mnie i dla Sadowskiego Stasia po 15 lat więzienia, bo stwierdził, że z nas już Polska Ludowa pożytku mieć nie będzie, z nas dwojga. Było to dlatego, że gdy na rozprawę przyjechała Stasia matka, która była kobietą ze wsi, w weźniaku spod Łowicza i zapytała szeptem: Stasiu - może ci dać trochę jabłek, chciała mu jakąś przesyłać, a Stasio głośno krzyknął - lepiej granaty!

Mnie z kolei w ostatnim słowie pan sędzia zapytał, czego sobie życzę. Odpowiedziałam, że czekolady, bo są moje imieniny. Zrobiła się farsa, bo na sali było wiele młodzieży, bo to była rozprawa przy drzwiach otwartych, powstał śmiech, pojawiły się gwizdy na sędziego, posypały się okrzyki na naszą cześć i przeciw sędziom. Stąd to oświadczenie prokuratora, że z nas już dla Polski Ludowej pożytku nie będzie. Prokurator domagał się dla mnie 15 lat, dostałam sześć lat więzienia. Na tym rozprawa się skończyła, odbywała się ona 9 i 13 października. R

Po rozprawie wróciłam do Więzienia przy Kopernika, nie pamiętam ile miesięcy tam przebywałam. Było tam strasznie brudno, było mnóstwo karaluchów i szerzyły się choroby, było też dużo wszy. I tu znów naraziła się panu naczelnikowi, bo zwróciłam się do niego o środek przeciw tym insektom. W odpowiedzi komendaht wsadził mnie do piwnicy i powiedział, że poczeka, aż mnie te wszy zjedzą. Ale jakoś mnie nie zjadły. Po

kilku miesiącach przewieziono nas do więzienia przy ul. Gdańskiej, to było więzienie już nie koedukacyjne, lecz kobiece, to chłopaków przewieziono już nie paniętam, czy na Sterliga, czy na Kraszewskiego? Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Przy Gdańskiej nie było już karaluchów, za to były pluskwy. Tak, że w nocy, jak się palcem dotknęło ściany zawsze się trafiło na pluskwę, to nie ulegało nigdy wątpliwości. Tam byłem ze trzy miesiące. Stamtąd przewieziono nas do Fordonu koło Bydgoszczy, nie informując rodzin dokąd nas wywieziono, tak że matka moja szukała mnie przez pół roku, nikt nie chciał jej powiedzieć, gdzie jestem. Po pół roku jeżdząc po Polsce trafiła do Fordonu. W Fordonie siedziałam do 1952 roku we wrześniu, w moje urodziny /zawsze miałam szczęście, jak nie imieniny, to urodziny/ zostałam wezwana do naczelnika. Muszę jeszcze dodać, że w Fordonie warunki higieniczne były lepsze. Naczelnik powiedział mi, że jutro wychodzę na wolność. Stwierdziłam, że to kpina. Okazało się jednak, że to była prawda, wyszła bowiem jakaś kodyfikacja, która umożliwiła mi wyjście na wolność.

Nie pamiętam nazwiska mego adwokata, który już nie żyje. Był to cudowny człowiek, mieszkał u zbiegu ulic Gdańskiej i Obrońców Stalingradu, tak, że wyglądając ze swego okna widywał mnie na dziedzińcu więziennym. Po wyjściu byłem u niego z kwitami.

Po wyjściu na wolność starałam się dostać do Liceum, by je skończyć. Okazało się, że w żadnym liceum nie było miejsc, nie mogła się dostać do Liceum. Udałam się więc do Kuratorium przy ul. Piotrkowskiej 104 i o dziwo wchodząc do jednego z pomieszczeń natknęłam się na moją panią dyrektor Chorbacką, która była podczas mego aresztowania dyrektorką mojej szkoły i za karę, że w jej szkole coś takiego się wydarzyło - wyrzuceni ją z pracy. Zatrudniono ją jednak w Kuratorium. I natknąwszy

się na nią wywołałam zdziwienie. Przyjęła mnie jednak bardzo ciepło. I dzięki niej trafiłam do Liceum przy ul. Wólczańskiej. Do tego Liceum chodziłam tylko rok. Po roku stwierdzono, że ja już tam chodzić nie mogę, bo mam zbyt wpływ na koleżanki. Pozostało mi pójście do pracy. Niestety, żadnej pracy znaleźć nie mogłam i podejrzewa, że chodził za mną jakiś wilczy bilet. Wobec tego podjęłam pracę w fabryce im. Pawła Findera jako wagowa. Dyrektorem tej fabryki był Żyd. Pracowałam tam pół roku jako wagowa. Po pół roku wujek mój, żołnierz gen Andersa, który wrócił do Polski w 1947 roku, obecnie już nie żyjący, też prześladowany, przez swego kolegę postarał mi się o pracę w biurze Samopomocy Chłopskiej. I wtedy, żeby skończyć szkołę, żeby zrobić maturę, poszłam do szkoły wieczorowej przy ul. Targowej. Tam robiłam maturę jednocześnie pracując w Samopomocy Chłopskiej. Po skończeniu szkoły złożyłam papiery na Psychologię do Poznania, oczywiście bez egzaminu zostały odrzucone, natychmiast. Tak, że po prostu przyuczyłam się do zawodu wychowawczyni przedszkola i potem już pracowałam w przedszkolu, ponieważ wówczas brakowało nauczycielek przedszkola i pracowałam w przedszkolu 18 lat. Gdy powstała Solidarność, przeszłam do pracy w Zarządzie Regionalnym w wydziale oświaty i w 1981 roku, po ogłoszeniu stanu wojennego zostałam bez pracy do dziś.

Chciałam wrócić jeszcze do spraw organizacji. Mogę o niej powiedzieć niewiele, gdyż była zakonspirowana, ja znałam z tej organizacji tylko dwie osoby. Ja przekazywałam swoje informacje jednej, znanaj mi osobie, z kolei ona przekazywała je dalej. Organizacja wydawała pisma: "Iskrę" i "Młodą Polkę". Były to pisma o treści politycznej skierowane przeciw komunizmowi i Związkowi Radzieckiemu. Zresztą w akcie oskarżenia nawet wymieniono "Iskrę" nie podając treści artykułów na sali sądowej, ograniczono się do stwierdzenia, że treść podano

tylko do wiadomości składu sędziowskiego. Więc była to widocznie rzecz bulwersująca.

Gazetki były drukowane przy pomocy maszyny do pisania i powielacza - skradzionych z Komendy Hufca ZHP. Już po wyjściu z więzienia dowiedziałam się, że właśnie specjalnie do tych celów je zabrano. Znalazło to wyraz nawet w akcie oskarżenia, za kradzież dodatkowo obciążono podsądnych. Akcje ulotkowe prowadziliśmy w sposób dość prymitywny, wycinając litery z gazet, gdyż nie dysponowaliśmy maszynami drukującymi. Ulotki nasze były rozrzucane w różnych miastach m.in. w Krakowie, Częstochowie i innych, a poza tym wrzucano je niekiedy do skrzynek pocztowych różnym osobom.

Przypominam sobie również, że w parku im. J. Poniańskiego w Łodzi zrobiliśmy małą akcję sabotażową i zrzuciliśmy z pomnika ku czci Armii Czerwonej - czerwoną gwiazdę.

Telex autoryzacyjny